

## ŁUKASZ TISCHNER

### O Janie Błońskim

Zanim poznałem Jana Błońskiego-eseistę i Jana Błońskiego-krytyka, szczęśliwie zetknąłem się z nim na pierwszym roku krakowskiej polonistyki (1986/87) jako prowadzącym zajęcia z literatury współczesnej. Jak dowiedziałem się później od Aleksandra Fiuta, to Błoński wpadł na pomysł, żeby ćwiczenia ze współczesnej na pierwszym roku prowadzili profesorowie, a nie asystenci, bo uważał (słusznie!), że taki kontakt działa jak biologiczny *imprinting*. Poza tym jako wytrawny belfer wiedział, że pierwszorocznik jest najbardziej chłonny i najmniej zblazowany.

Ćwiczenia z nim budziły zachwyty i paraliżujące onieśmienie. Zachwyty, bo z wielką swobodą i werwą mówił o literaturze, ale i ogólne skrępowanie, bo nikt ze słuchaczy nie potrafił, choćby w części, sprostać jego erudycji. W dodatku co jakiś czas wybuchał niepoohamowanym, dziecięcym śmiechem, którego salwy tworzyły podkład muzyczny naszych spotkań. Bojąc się, że to któryś z nas – pierwszoroczników – spowoduje rozbawienie Profesora, cedziliśmy słowa i najchętniej milczeliśmy. Z biegiem czasu zorientowaliśmy się, że jego śmiech nie mierzył w kogokolwiek, ale był oznaką nieposkromionego poczucia humoru i wewnętrznej wolności. Na zajęciach interpretowaliśmy głównie polską poezję, ale najmocniej zapamiętałem „kartkówki”, które robił zniechacaka. Najtrudniejsze były streszczenia, polegające na tym, że dawał każdemu odbitkę (w tamtym czasie wciąż trudną do wyprodukowania) jednostronicowego tekstu literackiego, który należało streścić własnymi słowami mniej więcej w stu słowach, a na samym końcu jeszcze w dwudziestu słowach zawrzeć jego najważniejsze przesłanie. W ciągu dziewięćdziesięciu minut musieliśmy streszczać na przykład fragmenty *Legandy Młodej Polski (Polska dziecienniała)* i *Widzeń nad Zatoką San Francisco (Co czuje się wobec zbyt dużego obszaru)*! Zadania zdecydowanie na wyrost, ale nasze męki okazywały się błogosławione. Przez osmozę wchłanialiśmy zbójcekie treści, a równocześnie uczyliśmy się jasnego i zwięzłego wyrażania myśli. Najlepsze streszczenia Błoński odczytywał na głos, zatajając nazwiska autorów. Jego pochwały pokazywały pośrednio,

jak pisać – unikać rozdętych do granic zdań złożonych, stronić od kancelaryjnej strony biernej i przemądrzałych słów, nie bać się prostoty wywodu.

Jak łatwo się domyślić, zajęcia z Janem Błońskim (później także jego wykłady) były nie tylko szkołą czytania/pisania, ale i życia. Brzmi to górnolotnie, ale prawdziwie, choć on sam był jak najdalszy od wszelkiego kaznodziejstwa, a tym bardziej pimkowatości. Wywód naukowy okraszał anegdotą, dowcipem, przywołaniem własnego wzruszenia lub złości, tak by ujawniło się jego niepowtarzalne, niepodległe ja – takie samo za katedrą, jak w domowej jadalni czy kościele Świętej Anny, gdzie widywałem go na niedzielnej mszy. Zapamiętałem rzuconą mimochodem uwagę o istocie dobrego wychowania. Była to historia gafy, która zdarzyła się na dystyngowanym przyjęciu we Francji. Ktoś niedoświadczony, o ile pamiętam przybysz z naszej części Europy, nie biorąc przykładu z bardziej obytych, zaczął jeść krewetki łyżką. Wzbudziło to konsternację współbiedników, ale nie gospodarza, który zauważywszy pomyłkę gościa, bez słowa sam sięgnął po łyżkę. Jan Błoński spointował, że istotą dobrego wychowania nie jest ślepe posłuszeństwo regułom, ale wrażliwość na innych.

Chyba najmocniej utkwiła mi w pamięci reakcja Profesora na studenckie protesty, bodaj w maju 1988 roku. Właśnie zaczynał się jego wykład, na który z zapalem chodziliśmy. Ale pod oknami Gołębnika zbierały się tłumy skandujące antykomunistyczne hasła, zaczynała się demonstracja poparcia dla strajkujących robotników. Słyszając to, Błoński stwierdził krótko, że nie chce nam w takim momencie zabierać czasu i przerwał wykład, dając do zrozumienia, że warto dołączyć do protestu.

Pierwszą książką Jana Błońskiego, którą przeczytałem, była monografia Sępa Szarzyńskiego. Zaważył na tym przypadek – chciałem oczywiście przekonać się, jak pisze, ale przy okazji wzmocnić swoje szanse na egzaminie z literatury staropolskiej u legendarnego profesora Tadeusza Ulewicza (nazwisko, o czym wiedzą absolwenci krakowskiej polonistyki, znaczące). Przypadek okazał się szczęśliwy, bo dzięki temu poznałem Jana Błońskiego-pisarza w jego najbardziej wyrafinowanym wcieleniu – nowoczesnego komparatysty, wytrawnego historyka idei, znawcy filozofii i dziejów religii, ale ponad wszystko uważnego hermeneuty, który w dodatku znał jeszcze sekrety wersologii. Jego książka wyznaczała wzorzec pisarstwa naukowego, w którym kaliber podnoszonych kwestii nie wykoślawiał rytmu zdania, a giętka, archaizowana polszczyzna budziła zdrową zazdrość, żeby dążyć ku wyznaczanym przez niego wyżynom. Uderzająca była jego zdolność do rozpoznawania, a potem dyskusowania najbardziej zasadniczych kwestii: filozoficznych, religijnych

i egzystencjalnych, które w typowych pracach polonistycznych na ogół wstydliwie spychane są do przypisów. Zaraźliwa była śmiałość, by nie skrywać własnego zdania za parawanem naukowości, nie zatajać prywatnego romansu z tekstem. Tak, Błoński umiał sprostać zaleceniu Gombrowicza: „Tak piszcie, żeby było wiadomo po przeczytaniu, czy pisał blondyn, czy brunet!”.

Ale dość już wspominków. Wolę jeszcze napisać o mądrości Jana Błońskiego, która ujawnia się w jego tekstach. Bo jego szkice są nie tylko inteligentne i erudycyjne, ale przede wszystkim mądre, choć ich mądrość zaprawiona jest goryczą. To nie przypadek, że Profesor upodobał sobie pisarzy, którzy, owszem, często upajają go, a nawet oszałamiają pięknem brzmień i obrazów, ale zarazem potrafią przerazić nicością i diabelstwem świata. Jeśli przywołać nazwiska najważniejszych pisarzy, którymi się zajmował – czy będzie to wspomniany Sęp Szarzyński, Witkacy, Leśmian, Baczyński, Miłosz, Różewicz, Gombrowicz, Mrożek, Beckett, Proust, a nawet Gałczyński – to każdy z nich oprócz wyrazistego, niepodrabialnego stylu wyróżnia się pesymizmem światoodczucia, jest, mówiąc słowami Williama Jamesa, „chorą duszą”, która dostrzega nieprzenikloną groźbę kosmosu. Po przeczytaniu *Błońskiego przekornego* wiem już, że szukał w literaturze tego, co sam czuł pod skórą. Zacytuję trzy poruszające fragmenty z jego dziennika, które mimowolnie kojarzą się z *Wyznaniami* świętego Augustyna:

„Dzisiaj [czyli około 1960 roku – Ł.T.], kiedy myślę o tym, co napisałem lub powiedziałem, odczuwam żal i czasem nawet przerażenie, że nie dotknąłem niemal tego, co było dla mnie najważniejsze. A najważniejsze były sprawy religijne, ta jakby drzazga Boża, która tkwiła we mnie latami, w uśpieniu albo też jątrząc, ale zawsze obecna”;

„Gdzie więc szukać pierwszego zadraśnięcia drzazgi? Z najwcześniejszego dzieciństwa pamiętam przygnębiający sen spadania czy odłączenia. Byłem jakby między chmurami, poruszającymi się miarowym, obrotowym ruchem, który spychał mnie w dół – do piekła. Czasami udawało mi się obudzić i wezwać imienia Bożego, co, jak wiadomo, zapewniało ocalenie; czasem zaś sen roztopiał się w szarej lepkiej rozpacz. Straciłem wiarę na kilka dni, miałem wtedy lat szesnaście, najwyżej siedemnaście. Nie było w tym nic wyrozumowanego, odeszła, jak wróciła – milcząco. Przeżyłem wtedy cieleśnie coś, co filozof nazwałby może doświadczeniem przygodności. Patrzyłem na dom, na drzewa, na furę terkoczącą po ulicy [...]. Wszystko było jakby osobne, niepotrzebne, bez powodu. Drzewa nie miały korzeni, dom stał na przypadku, prawo ciążenia obowiązywało tylko tymczasowo, lada chwila mogło

być odwołane i okno, parapet zawisłyby w powietrzu. Fura jechała donikąd, koń był zwierzęciem nie tyle groźnym, ile niepojętym, miał jakieś głupie nogi, chrapy, uszy”;

„Zawsze do tego samego wracam, do bylejakości mojej i do religii, w którą wierzę-nie wierzę, nie mogę nie wierzyć i nie mogę z niej uczynić gmachu pewnego, i już nawet spróbować serio nie umiem. Ale odczepić się nie mogę i już chyba nigdy nie potrafię. I nie chcę, mimo całego łajdactwa mojego – bo to rodzaj łajdactwa duchowego, dziecinady”.

Znamienne dla tych cytatów jest oczywiście skupienie na religii jako podstawowym punkcie odniesienia (mimo ciągłych nawrotów wątpienia). Ale uderzająca jest tonacja tych notatek – wiarę Błońskiego przenika i właściwie buduje doświadczenie rozpacz i słabości. Rozpacz metafizycznej – że być może istnieje raczej nic niż coś i moralnej słabości, którą odczuwał jako udział w złu, a nie jedynie bierne przyzwolenie. Uwagi o własnej słabości łączą się z jego wyznaniem o niedostatku odwagi, które notował, gdy porównywał siebie z Janem Józefem Szczepańskim i Jackiem Woźniakowskim. Chyba pośrednio nawiązywał do niesławnego podpisu pod rezolucją Związku Literatów Polskich potępiającą księży kurii krakowskiej, który był wymuszony, ale Jan Błoński, o czym mówił w książce Wojciecha Czuchnowskiego *Drzazga*, postrzegał swą uległość jako winę. Myślę, że odczuwał „Bożą drzazgę” jako obietnicę sensu, ale i jedyny ratunek przed diabelskim wodewilem, bo zło totalitaryzmów, które okaleczyło całe jego pokolenie, było dla niego siłą demoniczną, unieważniającą ludzką zdolność do czynienia dobra. Nicość, którą odkrywał u Miłósza i Gombrowicza, nie była jedynie projekcją doświadczenia przygodności. Miała aspekt aktywny, jako coś, co poraża serce, by użyć dobitnej, archaicznie brzmiącej frazy.

Piszę o tej gorzkiej nauce, bo Jan Błoński nie zasłużył na panegiryk, ale współmyślenie, do którego zachęcał. Jego roztropna mądrość i nadzwyczajna, pojemna „jak świat” wrażliwość miały chyba swe źródło w wewnętrznym okaleczeniu, doznaniu totalitarnego zła i własnej słabości. To samo odkrywam u jego ulubionego poety, Czesława Miłósza. Nie od dziś wiadomo, że prawdziwa moc doskonali się w słabości.